

**Marta Węgiel**

Pensjonat z gangsterem w tle

 KLIN

MARTA WĘGIEL

PENSJONAT  
Z GANGSTEREM W TLE



Redaktor: *Jan Koźbiel*  
Korektor: *Jolanta Kunowska*  
Projekt okładki: *Krzysztof Ostrzeszewicz*  
Zdjęcie autorki: *Witold Gawliński*

Copyright for text by Marta Węgiel, Warszawa 2010

Copyright for the polish edition by  
WYDAWNICTWO KLIN, Warszawa 2010

Copyright for cover by  
Krzysztof Ostrzeszewicz, Warszawa 2010

ISBN 978-83-62136-01-8

Wydanie 1  
WYDAWNICTWO Klin  
Warszawa, ul. Bruzdowa 117H  
tel: +48 501 686 786  
fax: 022 885 19 53  
e-mail: [m.g.klin@op.pl](mailto:m.g.klin@op.pl)  
[www.wydawnictwoklin.pl](http://www.wydawnictwoklin.pl)

Odetchnęłam dopiero, gdy wjechałam na magiczną górę na Zakopiance. W zależności od kierunku ruchu Kraków albo ścielił się u stóp, albo pozostawał za plecami. Ta druga ewentualność była moim udziałem. Odwrotnie niż normalni ludzie, którzy drugiego dnia nowego roku wracali do domów i pracy, spakowałam się dość chaotycznie i zaczęłam uciekać. No, może nie dosłownie, ale też nie tylko w przenośni.

Za plecami zostawiałam oswojone miejsce: swoje mieszkanie – z córką, psem, dwoma kotami, mechanizmem parzenia porannej kawy, pierwszym, koniecznym papierosem, monotonnymi głosami w słuchawce telefonu i nieznośną godziną czwartą nad ranem z jej paralizującym drżeniem.

Nie byłam nieszczęśliwa, nie.

Raczej odrobinę rozczarowana, trochę zmęczona, lekko przygnieciona bagażem upływającego czasu, z wewnętrzną niezgodą na ten sposób życia, który w końcu sama sobie wybrałam. Bo nie tak przecież miało być.

\*

Dodałam gazu. Na moim pasie było dość luźno, samochody z nieodłącznymi nartami na dachach jechały w odwrotnym kierunku. Przez chwilę pozazdrościłam ich właścicielom, potem z ulgą pomyślałam, że moje kolano przeżyło już dość, choć nie na stokach akurat czy trasach zjazdowych. Prozaicznie przejrzała śliwka w rodzinnym ogrodzie pozbawiła mnie wiązań na całe dorosłe życie i dostarczyła doświadczeń podwójnej operacji.

Nie jechałam na narty.

Krajobraz za szybą zaczął się zmieniać, gdy skręciłam na Bielsko. Dużo śniegu, jeszcze płasko, ale z wyraźną tendencją do wypukłości.

– Jedź, tu się nic nie zawali – zareagował Wacek, mój odwieczny kierownik produkcji, kiedy zadzwoniłam z informacją, że wyjeżdżam.

Może jednak powinnam zostać, posiedzieć nad konspektem cyklicznego programu, do którego trzeba wprowadzić zmienioną formułę. Dopilnować wgrania muzyki do pierwszego odcinka serialu, który chcemy uruchomić w Krakowie. Pisać drabinki do następnych. I dialogi. Zrobić ostateczną redakcję książki.

Nie czuć tego idiotycznego nagłego niezadowolenia, które zaczyna dopadać zbyt często, nachalnie i w najmniej odpowiednich momentach. Schematyzmu kolejnego dnia – w pochyleniu nad laptopem i uporczywym bólu kręgosłupa po kilku godzinach, drobnych sprzeczkach z Weroniką, zawsze tej samej trasie spaceru z psem, niechęci do wychodzenia z domu, by się z kimś napić piwa.

Dlaczego nie potrafię nazwać tego samotnością?

Skręciłam w lewo przy drogowskazie Lanckorona 3 km. Ten odcinek trasy mogłam już przejechać z zamkniętymi oczami, choć nie należał do najłatwiejszych.

O, te dwa niesamowite zakręty i widać kościoł. Skręciłam na dwójce, usiłując sobie przypomnieć, kiedy wjeżdżałam tu po raz pierwszy. Chyba latem, ale jak dawno temu? Piętnaście lat? Nie, więcej.

Jak zwykle przed ostatnim fragmentem drogi, tuż nad urwiskiem, zatrzymałam się i zerknęłam w dół, na Tadeusza. Ogromna willa z ciemnego drewna, teraz przysypana śniegiem, stała niewzruszona, jak zawsze przyjazna i zapraszająca. Z sentymentem przesunęłam spojrzeniem po dużych i małych balkonikach, rozłożystej werandzie wychodzącej do ogrodu i wieżyczce z oknami z kolorowych szybek.

Wjeżdżałam do innego świata.

Na podjeździe zauważyłam kilka samochodów z rejestracjami z różnych miast. A więc nie tylko ja wpadłam na pomysł, by urwać się poświętecznie z domu.

Trzy psy – dwa jamniki i ciemny kundelek – przypadły do mnie z ogromną radością. Chyba chciały mi pomóc wnieść torby i laptopa. Nie potrafiłam spakować się minimalistycznie, nigdy nie udało mi się zmieścić w jedną sztukę bagażu. A to miały być tylko cztery dni, no, może pięć...

– Wszelki duch... A już myślałam, że zabłądziłaś!

Ała stała, jak zawsze, przy olbrzymiej kuchni węglowej i mieszała coś bardzo pachnącego w dużym garnku. Nie zmieniła się wcale – drobna, szczuplutka, z ciemnorudymi krótkimi włosami. Aż trudno było uwierzyć, że jest matką trójki już prawie dorosłych dzieci.

– Jezu, co to tak pachnie? Litości, kobieto, nie zaczynaj od tej twojej odwiecznej ironii. Drogę znam na pamięć.

– Co z tego, skoro tak rzadko uruchamiasz tę pamięć. Kiedy byłaś tu ostatnio? W tamtym roku? Zabieraj palec! To bigos!

– Widzę i czuję, nie zatraciłam podstawowych zmysłów. Ojej, zajaśniało mi w łecie, nie pamiętasz?

– No, proszę, kogo my widzimy! Wielki świat zawitał na prowincję!

Jacek stanął w progu. Za moment byłam już w jego ramionach i to jeszcze podniesiona na pewną wysokość. Sporą wysokość, bo Jacek mierzył słuszne 180 centymetrów albo i więcej. Miał kojącą brodę, lekko posiwiałą, co dodawało mu uroku, i okulary. Dwa elementy, które lubię u mężczyzn.

– Litości, puść mnie! Mógłbyś już trochę spoważnieć. Czy ty się nigdy nie męczysz?

– Nigdy – odparł z powagą i postawił mnie na normalnym gruncie. – Dobrze, że przyjechałaś.

Ja też tak właśnie poczułam.

Zasiadłam za olbrzymim kuchennym stołem. Torby zwałałam pod nogi, jak jakiś dzikus. Najpierw pooddychać, porozglądać się, pogadać – potem zataszczyć bambetle na górę. Nie pali się, tu nie muszą być poukładana i odpowiedzialna.

– Myślałam, że się przewaliło, a tu tyle aut. Pozostawali czy dojechali?

Machinalnie przysunęłam do siebie deseczkę z plasterkami pasztetu.

– I tak, i tak. – Ala zdecydowanie odsunęła ode mnie pyszności. – Zostaw, najpierw obiad. Część jest już od pewnego czasu, reszta wpadła na koniec tygodnia.

Zamieniła z Jackiem spojrzenie, które coś mi przypomniało, ale nie wiedziałam co. Chciałam się odezwać, ale szanowny właściciel podniósł moje bagaże.

– Chodź, pomogę ci. Masz swoją dziewiątkę. Czy ty się do nas wprowadzasz na miesiąc?

Z niedowierzaniem szacował wielkość i wagę moich dwóch toreb podróżnych.

– Z dziką rozkoszą – wyznałam. – Ale jeszcze nie tym razem. To tylko drobne i niezbędne rzeczy.

– A, chyba że tak. Ale wiesz, strasznie jestem ciekawy, jak wyglądają te drobne rzeczy.

– I niezbędne – dodałam, idąc za nim po schodach.  
– Kiedyś ci pokażę.

W długim korytarzu paliły się jeszcze świąteczne lampki. Drzwi do pokoju naprzeciwko były lekko uchylone. Zerknąłam przechodząc, ale nie zobaczyłam nikogo.

Jacek wniósł moje rzeczy do dziewiątki. Jak ja lubiłam ten pokój z wielkim tarasem i drewnianą balustradą! Cudna stylowa szafa, takie same nakastliki i skórzane krzesła. I grafiki starego Krakowa na ścianach.

– Obrastacie w luksusy... – Dotknęłam srebrnego telewizorka, instalując obok swojego laptopa. – A obiecałam sobie niedobory TV...

– Nie musisz go włączać – poinstruował mnie Jacek.  
– Choć pewnie nie wytrzymasz... jak cię znam.

Drzwi pokoju naprzeciwko zamknęły się bezszelestnie. Zauważyłam to kątem oka; dziwne, tu rzadko kto dbał o taką prywatność, goście funkcjonowali poważnie w gromadzie i bez sztywnych granic. Stąd też znajomości i przyjaźnie tu zawarte utrzymywały się długo po wyjeździe.

– Chodź, bo Ala ci nie wybaczy zimnej zupy.

Jacek zagarnął mnie zdecydowanym ruchem ramienia i pociągnął w stronę schodów. Nie opierałam się zresztą, z dołu bowiem dochodziły nieziemskie zapachy.

\*



– Mamo, dzwonił Mateusz, wiele razy. Nie odbierasz komórki? – Weronika wydawała się zafrasowana. Zdusiłam w sobie narastające dość skomplikowane uczucia i postarałam się o normalny ton głosu.

– Tu czasami są kłopoty z zasięgiem. Nie powiedziałaś, gdzie jestem?

– Nie, choć dopytywał się dość nachalnie. Ciekawe... Kiedy ja dzwonię, zawsze odbierasz.

– Nie bądź taka inteligentna, dobrze? – Oj, była, była. – Skontaktuję się z nim potem. Teraz muszę się zregenerować.

– Rozumiem. Jest ktoś ciekawy?

Moja córka z dużym powodzeniem stosowała skróty myślowe, choć często posługiwała się młodzieńczym sposobem rozumowania. „Ktoś ciekawy” miał być zawsze lekiem na całe zło.

– Całe stado – odpowiedziałam w podobnym stylu.

– I nowy pies, z azylu, wabi się Baba.

– Okej, Mameniu, pogadałyśmy. Zadzwońię potem, jedziemy z Bartoszem na zakupy, pa.

– Pa.

Odłożyłam telefon z westchnieniem.

Należy zacząć się przyzwyczajać do myśli, że Bartosz staje się integralnym członkiem naszej rodzinnej społeczności. Ale nie czepiam się, fajny chłopak i zdaje się, że z ogromną dozą tolerancji dla charakteru mojej córeczki.

\*

Mateusz, jak przypuszczam, dzwonił kilkakrotnie na moją komórkę, ale jego numer się nie wyświetla. Miałam kilka takich nieodebranych połączeń. I takie też pozostaną.

Nie chciałam z nim rozmawiać, bo w zasadzie wszystko zostało już powiedziane. Co tu jeszcze roztrząsać? Mój trudny charakter? Jego słaby? Mój brak czasu na pełną integrację? Jego słabość do młodych blondynek? Historia stara jak świat. A że trwała ciut za długo, bo złudzenia mijają najpóźniej, to już trudno. Że zabolęło? A nie mogłam się przyzwyczaić? W końcu już trochę żyję na tym świecie i mogłoby się wydawać, że mądrości powinno przybywać z wiekiem.

Te niepotrzebne rozmyślania przerwał mi donośny głos Ali z dołu. Pora kolacji. Wreszcie poznam wszystkich gości.

Zabrałam komórkę, na wszelki wypadek. Braku zasięgu lub wprost przeciwnie.

Jarka i Bożenkę znałam od niepamiętnych czasów i poczułam niekłamana przyjemność na ich widok. Oboje mieli wprost wspaniałe poczucie humoru, ona z jednoczesną babską bliskością, on z przewrotnym, niesamowicie błyskotliwym sposobem komentowania rzeczywistości. Ona drobna, zadbana blondynka z wielkimi niewinnymi oczyma, on trochę misiowaty, z rysującym się brzuszkiem pod koszulą i szarymi ciepłymi oczami ze skłonnością do przymrużania.

– Zeszczuplałaś – przywitała mnie Bożenka. – Ale dobrze wyglądasz. Jakies nowe fakty w życiu osobistym?

– Musiała właśnie pogonić jakiegoś osobnika. – Jarek zmierzył mnie od stóp do głów spojrzeniem znawcy.

– I jak tu można zachować własną intymność – westchnęłam z udanym żalem.

– Ej, nic nie mówiłaś! Mateusz to już przeszłość? – Ala postawiła przede mną talerz.

– W każdym razie nie zasługuje na roztrząsanie przy kolacji.

Popatrzyłam z zainteresowaniem na współbiesiadników.

Borys jest, jak się dowiedziałam, dziennikarzem jednego z ogólnopolskich dzienników. Postawny, dość przystojny, z brodą, raczej małomówny, mruknął coś niewyraźnie na powitanie. Para nie wyglądająca na małżeństwo, tylko wprost przeciwnie, Ewa i Andrzej, mocno zróżnicowani wiekowo, w stronę bardziej akceptowaną społecznie – ona po dwudziestce, on w okolicach czterdziestki. Ewa reprezentowała ukochany przez pewien typ mężczyzn rodzaj urody: proste jasne włosy, długie nogi i, powiedzmy jednym słowem, cukierkowość. Andrzej wydał mi się wcieleniem lekko zmęczonego biznesmena, pachnącego dobrą wodą, gładko ogolonego, ze śladami opalenizny z solarium; niewątpliwie podobał się kobietom. Konrad, aktor jednego z krakowskich teatrów, pomachał mi życzliwie nad stołem. Jego żona Magda nie wykazała podobnego entuzjazmu. Nie dziwiłam się właściwie. Konrad grał przeważnie amantów – ciemny blondyn ze wspaniałą sylwetką i dużymi orzechowymi oczami; nie mógł się skarżyć na brak wielbicielek. Magda zaś robiła wrażenie cichej szarej myszki, bez makijażu, z włosami związanymi w kitkę, z wyrazem rezygnacji w zielonych oczach. Małgorzata, zdaje się bizneswoman, dość wyniosła, bardzo zadbana, podała mi chłodną dłoń na powitanie. Miała lśniąco czarne włosy, interesująco wystające kości policzkowe, ciemne oczy podkreślone perfekcyjnym makijażem. Obok niej siedział pan Krzysztof, podobno znany naukowiec z dziedziny, o której nie miałam najmniejszego

pojęcia i której nazwy nawet nie potrafiłam wypowiedzieć. Lekko zgarbiony, z okularami na nosie, które bez przerwy musiał poprawiać, nie wydawał się szczególnie zainteresowany towarzystwem.

Na stole stało jeszcze jedno nakrycie. No, pomyślałam, da się wytrzymać, nie ma tłumu. W końcu naprawdę chciałam się tu trochę wyciszyć i odpocząć. Nawet pisząc sobie powolutku rozmaite konspekty czy scenariusze.

Gołąbki Ali były wszelkie rekordy. Z premedytacją zapomniałam o przyrzeczeniu, by ograniczać wieczorne posiłki. Trudno, będę się martwić potem, przy wciąganiu obciśłych dzinsów.

– Co jest? Wydajesz się jakaś spięta? – Bożenka siedziała po mojej prawej stronie, na końcu ogromnego drewnianego stołu, nie miałyśmy więc kłopotów z dyskretną konwersacją.

– Zmęczenie, ludzko-materiałowe, powiedzmy. Zwiąłam na chwilę do bezpiecznego świata.

– Ha – powiedziała Bożenka i zamilkła.

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę Jacka i zajęła się swoim gołąbkim.

Zauważyłam, że stopień zażyłości uczestników kolacji jest dość zróżnicowany. Ewa i Andrzej szeptali do siebie w ten nieznośny dla pozostałych sposób, z zagładaniem sobie w oczy i w kleistych uśmiechach. Konrad z kolei starał się omijać wzrokiem własną żonę, ona zaś wykazywała niemal demonstracyjny brak zainteresowania jego osobą.

Pewnie znów ciche dni – pomyślałam i lekko się zdziwiłam. Bo o kogo tu mogła być zazdrosna? O tę Małgorzatę? A może przywiozła ze sobą jakieś stare pretensje?

No, jak znam Konrada, specjalnie stare to one być nie mogły. Swoją drogą, czy świat składa się głównie z niewiernych mężów i zazdrosnych żon? Czasem i nieżon...

– Byłem w rynku po południu, coś się musiało dziać – oznajmił pan Krzysztof. – Dwa radiowozy przyjechały, policjanci o coś wypytywali w sklepie...

– No co pan? – zainteresował się Borys. – I nie słyszał pan? Może był jakiś napad? Nie, to żaden temat. Coś grubszego by się przydało.

Ala postawiła tacę z filiżankami do herbaty jakoś nieuważnie, jedna z nich niebezpiecznie zsunęła się na brzeg stołu. Zdążyłam ją złapać w ostatniej chwili.

– Szukasz afery na naszej wsi? – Jacek zaczął nalewać herbatę z ozdobnego dzbanka. – Nie rozmarzaj się, co tu może być grubszego? Pewnie kilka butelek wódki poza rachunkami.

– Ja nie podsłuchuję policji – wyjaśnił pan Krzysztof. – Jakby mieli do mnie interes, sami by przyszli.

– Może jeszcze przyjdą – wyrwał się Andrzej, ale zaraz wrócił do rzucania miłosnych spojrzeń na swoją towarzyszkę.

– Trzeba być czujnym wszędzie – pouczył nas Borys. – Obowiązek obywatelski i tak dalej.

– I dobry news na okładkę. – Jarek nie mógł odmówić sobie złośliwości.

Rozmowa zesłała na inne tematy. Konrad próbował zainteresować Borysa najnowszą premierą w teatrze, Bożenka opowiadała Ali o zamieszaniu w pracy swojego syna, Jacek wdał się w dyskusję z panem Krzysztofem o nowych technologiach w czymś dla mnie niepojętym. Małgorzata popijała herbatę w chłodnym zamyśleniu.

Magda tkwiła obok swojego męża z cierpieniem wypisanym na twarzy. Ewa czule gładziła dłoń ukochanego.

Odrzuciłam od niej wzrok z pewnym niesmakiem. Kiedyś też miewałam takie maślane oczy i głupie złudzenia. Nawet nie tak dawno. Ją jeszcze usprawiedliwiał młody wiek, ale co by miało usprawiedliwić mnie? Stara jak świat głupota zakochanej kobiety. Ale czy to było zakochanie? Mateusz od samego początku i, uczciwie mówiąc, do końca prezentował głębokie przekonanie o mojej wyjątkowości. Prezentował i demonstrował, a na to poleci każda baba, stara i młoda. A że podobnym uczuciem obdarzył po drodze kilka takich wyjątkowych, to już inna sprawa.

Zadzwoiła moja komórka. Czego on jeszcze chce? Przecież podczas ostatniej rozmowy zaprezentowałam ową własną wyjątkowość, to pewne. Może nie do końca taką, na jakiej mi zależało. W bardzo poprawnie stylistycznie skonstruowanych zdaniach poinformowałam go o stanie mojej wiedzy. I stanie uczuć. Dałam też wyraźne polecenie, w jakim kierunku powinien się udać. Zawsze, gdy jestem wściekła, uruchamia mi się mechanizm literackiego wyrażania uczuć.

– Nie odbierasz? – zdziwiła się Ala. – Może to coś ważnego?

– Nic ważnego. – Schowałam telefon do kieszeni. – To wiem na pewno. I nie skończyłam kolacji.

W zasadzie jednak już wszyscy odsunęli od siebie talerze. Dopijaliśmy herbatę. Na stole pozostało jedno czyste nakrycie.

– Jeszcze ktoś przyjdzie? – zwróciłam się w stronę Ali, ale chyba nie usłyszała; wyносиła akurat do kuchni tacę z naczyniami.

– Może roberka? – Jacek wskazał salonik obok, nazywany przez nas brydżowym. Dwa zielone stoliki z kilkoma taliami kart prezentowały się bardzo zachęcająco, choć nie musiały: mnie nie trzeba było specjalnie namawiać do gry. Uwielbiałam brydża bardziej niż on mnie.

Bożenka wylosowała własnego męża na partnera i wstąpiła rozdzierająco. Bardziej na pokaz, bo tak naprawdę grali spokojnie i przyjaźnie. Mnie przypadła Małgorzata. No nic, może się jakoś dogadamy. Przy drugim stoliku usiedli Magda, Konrad, Borys i pan Krzysztof. Na szczęście małżeństwo nie grało w jednym tandemie. Czy mi się zdawało, czy na dwóch twarzach odmalowała się ulga?

Ewa z Andrzejem oddalili się w sobie znanym kierunku. A raczej ogólnie znanym, powiedzmy.

– Nie grasz? – zwróciłam się do Jacka ze zdziwieniem, bo jego pasja do brydża była szeroko znana.

– Pomogę Ali posprzątać. Zajrzę, gdy będziesz rozgrywać szlema. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo i udał się do kuchni.

– Jasne – mruknęłam do siebie. – I będę leżała bez trzech.

Ten szlem sprzed roku nadal tkwił mi w środku jestwa. Tak głupio zawistować i to na samym końcu!

Jacek zaopatrzył nas odpowiednio, w szklanki do piwa i kieliszki do czerwonego wina.

Graliśmy dość niemrawo, mnie karta raczej nie szła. Gdy na „bez atu” Małgorzaty musiałam odpowiedzieć „pas”, na jej twarzy pojawił się lekki grymas irytacji. Wzruszyłam ramionami w duchu, udając, że niczego nie zauważyłam. Miałam cztery punkty!

Pewnie ktoś mnie kocha! – pomyślałam z pewną gothicą.

Tamci grali w konsekwentnym milczeniu. Borys z Magdą, Konrad z panem Krzysztofem. Gdyby nie to, że istnieje licytacja, jedynym towarzyszącym dźwiękiem mógłby być szelest kart. Tylko wyrazy twarzy były inne. Borys grał leniwie rozluźniony, pan Krzysztof w naukowym skupieniu, Magda z irytacją, Konrad z obojętnością.

W jadalni nastąpiło pewne poruszenie. Ala stała z tacą przy stole i cicho rozmawiała z kimś, kto właśnie zajmował miejsce. Usiadł tyłem do drzwi saloniku, nie widziałam więc dokładnie tego spóźnionego gościa. Zauważyłam tylko gęste czarne włosy, nienagannie ostrzyżone i, przez moment, gdy zwrócił się w stronę wchodzącego Jacka, bardzo przystojny, męski profil.

– Bez kontry? – zdziwiła się Bożenka, gdy na jej „cztery kiery” znów odpowiedziałam „pas”.

Małgorzata posłała mi wściekłe spojrzenie. Faktycznie, odzywałam się ostatnia i miałam kiery.

– Z kim grasz, kochanie? – dość zjadliwie zapytał Jarek. – Z kontrą czy bez, ale zrób to, bardzo cię proszę.

Rozłożył swoje karty i pochylił się nad ramieniem żony.

– Wszystko, czego sobie zażyczysz, kochanie – odparowała Bożenka. – Pozwól, że sama zmierzę się z tym wyzwaniem.

Jarek z urażoną miną sięgnął po butelkę czerwonego wina. Zerknął na moją pustą szklankę i dolał mi piwa.

– Usuwasz się w cień – oznajmił. – Niech nic nie zmąci twojego genialnego umysłu.

Bożenka nie zwracała już na niego najmniejszej uwagi. Pochylona lekko nad stolikiem była w swoim żywiole.



Jarek, próbując jednak zerkać w jej karty, stanął na progu saloniku i jadalni. Przyciszonym tonem zaczął rozmowę ze spożywającym kolację gościem. Ten zwrócił się w jego stronę i znów mignął mi ten naprawdę niezły profil.

– Kłopoty z dostępem do Internetu... Za dużo e-maili... Firewall...

– Pojemność skrzynki... Obciążenie...

– Zainstalować nowy Explorer...

Z pewnym rozczarowaniem skupiłam się na rozgrywce. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale rozmowa na tematy komputerowe zupełnie mnie nie interesowała.

– Jedna lepiej – oświadczyła z triumfem Bożenka. – Zrobione.

– I to koniec robra – Małgorzata nie wytrzymała nerwowo i z pewnym pośpiechem podliczała punkty. – Nie popisałyśmy się.

To było do mnie. I miało znaczyć: Ty się nie popisałaś.

– Zdarza się. – Udawałam, że nie widzę jej skwaszonej miny. – Jeszcze możemy się odegrać.

Nie miałam najmniejszej ochoty na rewanż w jej towarzystwie, ale starałam się załagodzić konflikt. W końcu to pierwszy wieczór, a ja już znalazłam sobie wroga. I za co? Za trochę nieuważne zagranie?

Zmierzyła mnie krótkim, ostrym spojrzeniem. Pokręciła głową.

– Dziękuję, ale może innym razem. Rozboliła mnie głowa. Może znajdzie pani innego partnera?

Jej wzrok przesunął się błyskawicznie na uchylone drzwi do jadalni i natychmiast wrócił do mojej twarzy. Czy ta baba nie miała odrobiny poczucia humoru albo choć czegoś w rodzaju dystansu?

Zabrała kieliszek z winem i przeszła obok z udęconą miną.

– Zafundowałaś dawkę migreny naszej Królowej Śniegu. – Bożenka parsknęła śmiechem. – Oj, chyba się nie zaprzyjaźnicie.

– Chyba nie – przytaknęłam z lekkim poczuciem winy. – A kto to w ogóle jest? Nie widziałam jej tu nigdy wcześniej.

– Tajemnicza lady. Nie wiemy. Jacek mówił, że zadzwoniła i wynajęła pokój, bo słyszała, że to niezły pensjonat. Niezły, rozumiesz! Ale upierała się, że właśnie w tym terminie.

– Ja to mam szczęście... – Westchnęłam. – Myślałam, że będzie pusto i spokojnie.

– Przecież jest. – Wchodzący Jacek usłyszał ostatnie słowa i zareagował z ożywieniem. – Ty wiesz, co się tu ostatnio działo! Siedemdziesiąt pięć osób! Teraz jest pusto i spokojnie. Co się stało?

– Wyroki losu. – Jarek porzucił posterunek na progu i zbliżył się do stolika. – Przeznaczenie...

– O czym mówisz? – zainteresował się Jacek. My też.

Mężczyzna z jadalni odwrócił się i spojrzał na nas. Nie, na mnie. Cholera. Nie życzę sobie żadnych dreszczy! Ale ma oczy! I ten lekki zarost. Pomyślałam, że jakby jeszcze miał okulary, padłabym trupem.

– Agata wylosowała Małgorzatę do robra. Albo Małgorzata Agatę, jak kto woli – wyjaśnił Jarek.

– A jest jakaś różnica? – Na progu stanęła Ala. – Wydaje mi się, że to ten sam komunikat.

– Wbrew pozorom nie. – Jarek uśmiechnął się tajemniczo. – To się jeszcze okaże.

– On ma na myśli, że któraś z nas zafundowała sobie drugą na własne życzenie. – Chciałam odzyskać równowagę, nieco nadszarpniętą spojrzeniem z jadalni. – Podświadomość.

– Babska potrzeba konfrontacji... – podsunęła życzliwie Bożenka.

– Efekt jest taki, że brak wam czwartego. – Jacek całkowicie zlekceważył nasze rozważania. – Kto chce zagrać?

Jednak spojrzałam w stronę jadalni. Jednak. No cóż. Krzesło było puste. Na stole pozostał pusty kieliszek po winie.

– Chodź, Jacusiu. – Mam nadzieję, że zdołałam ukryć nutkę rozczarowania. – Teraz ich rozgromimy.

– Wystarczy, że wygramy. – Jacek tasował karty z nieukrywaną przyjemnością.

\*

Obudziłam się bardzo wcześnie. W pokoju panowała niewzruszona ciemność. Leżałam w łóżku z otwartymi oczami, zachwycona niezmaconą ciszą. Co za ulga, że tu nie dojeżdżają tramwaje, nie hamują samochody, nie pabrzękują śmieciarki. Kolejny raz zamarzyłam o małym domku na wsi i przekręcając się na bok, spróbowałam jednak zasnąć. Na próżno. Dopadła mnie magiczna moc słynnej czwartej nad ranem. To naprawdę niesamowite, że w tej odchodzącej ciemności wszystkie myśli pozostają czarne. Sama sobie wydałam się stara i beznadziejna, moje projekty zawodowe bezsensowne, pomysł ucieczki do pensjonatu dziecienny, Weronika tak bardzo daleko, Mateusz ciągle groźny, obcy ludzie zbyt obcy...

Ta godzina trwała wyjątkowo długo; jakby wymknęła się prawidłom czasu.

Wreszcie za oknem pojaśniało. A, co tam, dlaczego nie miałabym spacerować bladym świtem? I to bez obowiązującego makijażu, w adidasach i dresie?

Psy w przedpokoju leniwie uniosły głowy i bez zainteresowania obserwowały moje manipulacje przy zamku. Nie wyraziły ochoty, by mi towarzyszyć. Ich chyba nie dotyczyła poranna depresja.

Powietrze było mroźne, ale zaskakująco przyjemne. Przeszłam przez podwórko w stronę lasu. Nie wyglądał groźnie, raczej zachęcająco. Wspięłam się na górę, chwytając iglaste gałęzie pokryte szronem i odwróciłam się, by spojrzeć na dom. Był taki piękny, uśpiony, biały, bezpieczny. Co ja z tym bezpieczeństwem? Podświadomość jakaś? Nagle poczułam dreszcz strachu, usłyszałam szelest za plecami, ciemny kształt przesunął się w moją stronę. Zastygłam, by za chwilę odetchnąć z ulgą. To Baba, kundelek z azyłu, zdecydowała się jednak mi towarzyszyć.

– No, chodź. Nie możesz spać? Pewnie, jak wszystkie baby, też tak miewasz.

Baba machnęła ogonem i wyprzedziła mnie z zapalem. Zdecydowanie łatwiej pokonywała zbocze.

– Nie bądź małpa, poczekaj na starszą koleżankę.

Poczekaj.

Przelazłyśmy górą na drugą stronę. Baba zaproponowała jeszcze jeden kierunek, ale wytłumaczyłam jej, że jak na pierwszy raz wystarczy i zaczęłyśmy wracać.

Pewnie zaraz zapalą się światła w kuchni i Ala rozpocznie przygotowania do śniadania.